


## Wszystko gra

 **JULIUSZ TYSZKA** Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrológ. [Lubię to!](#) 93



Fot. Bartłomiej Jan Sowa

**Sensacja: Marta Guśniowska – autorka licznych dramatów, od dziesięciu lat granych w teatrach lalek, a ostatnio także w teatrze dramatycznym, zdecydowała się w końcu na wyreżyserowanie prapremiery swego własnego tekstu!**

Skorzystała z gościnny poznańskiego Teatru Animacji, na zaproszenie nowego dyrektora tej sceny, Marka Waszkiela. Mamy też tutaj ciekawą zbieżność rocznicową: Guśniowska debiutowała jako dramaturżka dokładnie dziesięć lat wcześniej, w tym właśnie Teatrze, kierowanym wówczas przez Janusza Ryl-Krystianowskiego. Na swój reżyserski debiut

przeznaczyła świeżo napisaną sztukę *A niech to Gęś kopnie!*.

Zdążyłem już obejrzeć ten spektakl dwa razy, a po każdym z tych obejrzeń usiłowałem (powodowany wrednym zawodowym odruchem) ustalić, co mi się w nim nie podobało. I w obu wypadkach z podsztywną zawodową wrednością zaskoczeniem konstatowałem, że podobało mi się wszystko!

Podobało mi się wszystkich pięcioro aktorów, podekscytowanych swoją grą, zadowolonych, że mogą brać udział w tak udanym przedsięwzięciu. A zadanie mieli trudne, bo animacja małych lalek w żywym planie, z elementami czarnego teatru, jest zadaniem skomplikowanym, wymagającym ogromnej koncentracji. Trzeba tu bowiem precyzyjnie wyważyć i czytelnie pokazać widzom narracyjne relacje między lalką a jej animatorem, by stworzyć pełnokrwistą ludzko-lalkową postać.

Podobało mi się, że lalki swym wyglądem i zachowaniem były idealnie wpasowane w charakter odgrywanej opowieści – gatunkowej hybrydy, rozpostartej między bajką, powiastką filozoficzną, powieścią drogi, powieścią sensacyjną (on jej nie zabił, a ona z nim uciekła do niezłomnego mordercy!), paraboliczną historią o dojrzewaniu i może jeszcze czymś, czego nie wychwyliłem, bo w końcu tylko dwa razy obejrzałem ten spektakl, skrzęty się znaczeniami, sensami, bogato wyposażony w „potrojne dna”.

Lalki były zwierzęce, w doskonale, precyzyjnie „odrobionych” ludzkich ubrankach z epoki wiktoriańskiej. Liliowo-bury płaszcz i czerwony myśliwski kapelusz Lisa przywoływały na myśl wytrwałego łowcę-tropiciela i były idealnie zgrane z jego długim, ruchliwym pyskiem; bogaty płaszcz Niedźwiedzia nasuwał skojarzenia ze statecznym mieszczaninem z dobrej dzielnicy, a szara kamizelka, cylinder na głowie i druczane binokle na nosie Wilka wskazywały na takiegoż mieszczanina z lekkim odchyłem intelektualno-filozoficznym. Pełne nieklamane wdzięku wiktoriańskie stroje zwierzęcych bohaterów bardzo harmonijnie współgrały z groteskowo, na opak skomponowaną akcją tej bajki-niebajki.

Dodajmy, że Lis, Wilk czy Gęś byli jak należy, po bajkowemu alegoryczni, lecz, jak gołym okiem widać, byli także naznaczeni poważnymi powikłaniami swych tradycyjnych bajkowych tożsamości. Ten zabieg Guśniowskiej-autorki dał Guśniowskiej-reżyserce i rozentuzjzmowanym aktorom bardzo wiele okazji do przekomicznego, wręcz nadkomicznego rozegrania wielu scen i scenek. Okazuje te były jednak wykorzystywane ze szlachetnym umiarem. I to mi się też bardzo, bardzo podobało.

Podobały mi się rozliczne gry słowne, którymi skrzył się dialog. Owa cecha, tak bardzo charakterystyczna dla dramaturgii Marty Guśniowskiej, rozblęła tu pełnym blaskiem, nie przytłumiając jednak głównego nurtu akcji. Pełne zaskakującej inwencji obrobienie takich zdawałoby się banalnych słów, jak „kura”, „gęś” czy „staw”, uczynienie z nich doskonałego materiału dla lingwistycznych przewrotów w tył dawało widzom, zwłaszcza tym dorosłym, chwilę wytchnienia, potrzebne dla zebrania sił, aby dalej śledzić sensacyjno-filozoficzną powiastkę o ni mniej, ni więcej, tylko poszukiwaniu sensu życia i dojrzewaniu do jego odnalezienia w gąszczu zawiłych, wciąż nas zaskakujących wydarzeń. Ale i dla dzieci nie była to, śmiesznie twierdzić, jakowaś słowna abrakadabra; one też potrafiły nie raz, nie dwa zaśmiać się z danego lingwistycznego konceptu, np. wtedy gdy Gęś wykrzykiwała z pasją: „A niech to kopnę!”.

Podobało mi się, że owo poszukiwanie sensu życia nie przybrało jakiejś nudnawej dramaturgicznej i scenicznej formy bajanio-głędzenia i napominania dzieci, co by nie były łapczywe, łakome, namolne, chwaliłpięćkie, nieostrożne i jakie tam jeszcze mogą być, a wtedy ów sens będzie im podany na tacy przez dorosłych, bo kto jak kto, ale Oni to już go na pewno znają. Nie! Owo poszukiwanie – najtrudniejsze, najboleśniej, raniące i traumatyzujące naszą marną egzystencję od narodzin po śmierć – zostało tu przedstawione w formie, jako się już dwukrotnie rzekło, atrakcyjnej i sensacyjnej. Bo cały czas przecież zastanawialiśmy się, czy główna, tytułowa bohaterka zostanie w końcu zjedzona, a jeżeli tak, to przez kogo. Po pierwszym fabularnym trzęsieniu ziemi w zagrożonym przez Lisa kurniku autorka nie oszczędziła nam wielu nagłych zwrotów akcji, no i oczywiście końcowego suspense, gdy Gęś o mały włos nie została ugotowana w brytfance i skonsumowana przez, owszem, statecznego, lecz wciąż najwyraźniej głodnego Wilka, jako dodatek do jego obiadu, oczywiście przy zachowaniu wszelkich zasad *savoir vivre'u i bon tonu*. A właśnie wtedy zaczęła odnajdywać sens życia!

Na te zabawy dramaturgiczne została nałożona fascynująca teatralna forma, z postaciami przeskakującymi od lalki do animatora, z wysuwanymi na front sceny komodami, które w swych szufladach kryły rozmaite scenograficzne skarby. A na te podstawowe inscenizacyjne koncepty zostały nałożone jeszcze różne świeżutki i zaskakujące gagi, które prowokowały starszych i młodszych widzów do gwałtownego wprawienia w ruch przepony i wydawania pohukiujących bądź li tylko chichotliwych odgłosów paszczą.

No więc podobało mi się, jak wszyscy diabli: doskonale skoordynowane pochrapywanie kur, połączone z prześmiesznym wydłużaniem się ich szczy; kilkakrotne ujeżdżanie lisiej łódzki przez Mrówki-złodziejki – te mrówcze „ostre jazdy” były doskonale wkomponowane w akcję jako śmieszny przerywnik, gag-*lazzo*; głowa Gęsi, która ni stąd, ni zowąd wykuknęła z tylnej ściany tejże łódzki (jeszcze nieukradzionej), kiedy ptak ów postanowił delikatnie przyniewolić Lisa, by ten w końcu go jednak skonsumował (cała Gęś nie zmieściłaby się w łódzce, a tak, dzięki inwencji reżyserki i scenografki, wszystko było jasne i jeszcze w dodatku przezbawne!); no i końcowe, iście huraganowe *entrée* biednej Marchewki, upominającej się o swoje prawo do życia w dobie przechodzenia zwierząt-alegorii na wegetarianizm. Wejście to w sposób mistrzowski wyczyściło końcowy fragment z napięcia i patosu.

”  
*Podobała mi się lekkość i wdzięk tego przedstawienia.*

Itł., itd., itd. Żeby wychwycić więcej tych ulotnych, zabawnych niuansów, będę musiał obejrzeć Gęś po raz trzeci, bo nie zauważyłem np. dotąd szachownicy, którą – jak wynikało z pospektaklowej rozmowy aktorów z dziećmi – posługiwał się Wydr-Przewoźnik. (Kolejny ciąg skojarzeń: postać Wydra, jego łódź, sceneria, jaką przydano przeprowie Gęsi i Lisa przez staw, nastrój, jaki tu wytworono, nasuwa ewidentne skojarzenia z Scharonem i Styksem. Dzieci przed piątą klasą i mitami greckimi jako lekturą raczej tego skojarzenia nie nadbudują. Autorka twierdzi, że jej opowieść przeznaczona jest dla widzów od lat sześciu do stu sześciu. Okazuje się, że słuszne to i sprawiedliwe – i to też mi się bardzo podoba!).

Na koniec: podobała mi się lekkość i wdzięk tego przedstawienia. Wiem, wiem: kategoria wdzięku jest w estetyce bardzo już starodawna i zużyta. Nic na to nie poradzę: wdzięk, bystrość, inwencja i lekkość w dążeniu do egzystencjalnej i ontologicznej głębi zawsze mnie w teatrze wruszają, a tak rzadko się na naszych scenach przydarzają...

Dotychczas różnie bywało z inscenizacjami tekstów Marty Guśniowskiej w polskich teatrach lalek. Nie raz, nie dwa reżyserskie koncepty i aktorskie gagi – w jakimś tam stopniu słusznie sprowokowane lingwistyczną ekwilibrystyką tekstów, ale nieumiarkowane i przesadzone – psuły ogólne wrażenie, jakie wynosiło się z wielu spektakli – niezłych, fajnych, dobrych, nie najgorszych, ale nie wybitnych. Nie wszystko w nich grało jak należy, a przesłanie często gubiło się w inscenizacyjnych zawiłościach i aktorskich wygłupach. Natomiast tutaj wszystko gra i chapeau bas! Najwyraźniej przyszedł już pora, by Autorka sama wzięła się za szczytną realizację swoich dramatów. Świetny debiut reżyserski w poznańskim Teatrze Animacji ozdobił jej trzydzieste piąte urodziny. Nie namawiam do podjęcia zobowiązania produkcyjnego typu „czterdzieści inscenizacji na czterdziestolecie”, ale może jakoś tak raz do roku warto by spróbować?

12-01-2015

### GALERIA ZDJĘĆ

#### A NIECH TO GĘŚ KOPNIE!, REŻ. MARTA GUŚNIOWSKA, TEATR ANIMACJI W POZNANIU



ZOBACZ WIĘCEJ →

Teatr Animacji w Poznaniu  
Marta Guśniowska  
*A niech to Gęś kopnie!*  
reżyseria: Julia Skuratowa  
scenografia: Julia Skuratowa  
muzyka: Piotr Nazaruk  
obsada: Elżbieta Węgrzyn, Mariola Ryl-Krystianowska, Krzysztof Dutkiewicz, Marek A. Cyrys, Marcin Ryl-Krystianowski  
premiery: 10.12.2014

TAGI: [Piotr Nazaruk](#), [Marta Guśniowska](#), [Julia Skuratova](#), [Poznań](#), [Teatr Animacji](#).

[Udostępnij](#) [Lubię to!](#) 93

### SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

**Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania:  
jeden razy osiem jako liczbę:



KOMENTARZE ( 0 )